



Michał Gołkowski "Wizje zagłady"

Cintryjka



Zdzisław Beksiński "Jeźdźcy Apokalipsy"

Od samego zarania świata człowiek niczego nie wypatrywał tak namiętnie i z takim utęsknieniem, jak jego końca.

Myśl o nieuchronnym końcu pojawiła się niemalże równolegle ze świadomością tego, że świat musiał kiedyś powstać. Niczym logiczny ciąg przeciwstawień – skoro został stworzony, a skądś przecież musiał się wziąć, to jego losem jest też zginąć.

Jakkolwiek pozornie naturalna, powyższa konstatacja miała absolutnie przełomowy wpływ na całą kulturę i powstawanie poszczególnych systemów religijnych. Oprócz bogów-stworzycieli pojawiają się bogowie-niszczyciele; w konsekwencji rodzić staje się oprawcą, budowniczy – najeźdźcą. Dualizm ten chyba najlepiej widać w postaci Saturna, ojca pożerającego swe dzieci – boga równie płodnego, co wynaturzonego, przerażonego tym, że któraś z jego kreacji może rozwinąć się i zagrozić mu w przyszłości.

Część religii próbowała, umownie rzecz nazywając, zbagatelizować sprawę końca świata. Twierdziły one w pobłażliwym uśmiechem, że owszem, my wszyscy kiedyś umrzemy i zapewne umrze również świat, ale nie ma to zasadniczo znaczenia. Jako że przyroda zatacza cykle, to i my jesteśmy siłą rzeczy zaprzęgnięci do podobnego kieratu stworzenia, wykreślając coraz to nowe okręgi wraz z kołem Sansary. Umieramy, ale zaraz odradzamy się jako coś innego; energia naszej duszy nie marnuje się i nie przepada, ale tylko zmienia...

Problem z tą teorią jest tylko taki, że większość z nas, ludzi cywilizacji śródziemnomorskiej, bardzo lubi być właśnie nie kim innym, a sobą. Jakkolwiek idea zmiany nie przeraża nas do szpiku kości – o ile mamy nad nią kontrolę i dokonuje się ona za naszym przyzwoleniem – to na pewno nie mamy ochoty odradzać się jako ktoś zupełnie inny ... Albo, nie daj jakikolwiek Boże, coś. Więc powyższe zwyczajnie nie wchodziło dla nas w rachubę. Zawsze lubiliśmy szumnie świętować wszystkie okazje życia, które postrzegaliśmy cokolwiek liniowo – start-bieg-finish. Zarówno narodziny, jak i śmierć celebrowaliśmy hucznie i z pompą... Więc tak samo wykreowaliśmy wizję końca świata.

Eschatologia, czyli nauka o końcu, jest dyscypliną absolutnie pasjonującą. To nawet więcej (a może mniej?...) niż astrologia czy przewidywanie przeszłości – te dwie pseudodyscypliny bazują przynajmniej na dość namacalnych, a w każdym razie widocznych manifestacjach otaczającej człowieka rzeczywistości. Mimo że uzależnianie losów nowo narodzonego władcy od układu gwiazd i planet można nazwać słabym umocowaniem dowodu, zaś określanie koloru włosów przyszłego małżonka z fusów po herbacie to w dużej mierze loteria, to przynajmniej istniała jakakolwiek baza faktów, z których wybiórczo i po omacku budowano predykcje. Zaś gdy mowa o nieuchronnym (rzekomo) końcu świata – człowiek przez całe wieki, a nawet tysiąclecia, błdził w ciemności, dosłownej i przenośnej.

Nie może więc dziwić, że gdy pojawiło się w niej słabiutkie światełko, to popędził ku niemu na złamanie duchowego karku.

Pierwsze przebliski, isierki pojawiają się w Biblii – jako że to na niej, siłą rzeczy, będziemy się koncentrować – już w Pięcioksięgu Mojżeszowym, jakkolwiek są w najlepszym razie ogólnikowe i odnieść je można do dowolnej sytuacji w świecie rzeczywistym, niekoniecznie stojącym na krawędzi zagłady totalnej. Stary Testament jest w całości mocno wybiórczy, skoncentrowany na bardzo konkretnej grupie etnicznej: historia Narodu Wybranego jest w nim historią ludzkości, zaś wszelkie problemy tegoż przedstawiane jako dotyczące jedynej istotnej – ex definitione – grupy ludzi. Momentem poniekąd kluczowym dla pojmowania idei Końca Świata jest pojawiająca się w eschatologii judaistycznej idea uznania przez wszystkie narody ziemi Boga Izraela jako jedynego słusznego, i następujące po Dniu Sądu wskreszenie zmarłych oraz stworzenie nowego nieba i nowej ziemi dla wybrańców.

Powyższe jest ważne o tyle, że zaburzony zostaje sam porządek świata, wywrócone rządzące nim prawa. W obliczu zbliżającego się końca świata mamy do czynienia nie tylko z prześladowaniem czysto ziemskim, doczesnym – uciskiem przez obce królestwa i atakowaniem słusznej religii przez fałszywe kultury, a zatem czasami prób dla wiernych – ale widać już bezpośrednią interwencję sił nadnaturalnych, element nadprzyrodzony, a więc dopust Boży.

Idea Boga zsyłającego na ziemię plagi mające pokarać nieposłusznych Jemu ludzi jest uderzająco mocna – Jahwe staje się panem życia i śmierci w przerażająco dosłownym tych słów znaczeniu, Jego władza sięga nagle o wiele szerzej, niż było to widoczne w słowach starszych proroków. Bóg, który kiedyś był zaledwie głosem w głowie skromnego pasterza – koncepcja dość przerażająca, gdy spojrzeć na nią z perspektywy psychiatrii sądowej – teraz nie tylko wysyła swych Aniołów, a zatem posłańców do zadań specjalnych, ale też kontroluje zjawiska pogodowe i potrafi wedle własnego uznania naginać, lub wręcz zmieniać, rządzące światem prawa: woda zamienia się w krew, słońce gaśnie w środku dnia. Adonai Sabaoth, Pan Zastępów i Bóg Izraela, zaczyna rosnać w siłę i aspirować do władzy nad innymi ludami, a docelowo i całym światem.

Rodząca się religia chrześcijańska bardzo mocno zaczerpnęła z duchowości judaizmu, praktycznie zupełnie odrzucając jego koncentrację na doczesności. „Moje królestwo nie jest z tego świata” – oświadcza Mesjasz, dobitnie pokazując w ten sposób, że poprzednie przywiązanie do spraw materialnych nie jest już istotne. Siłą rzeczy zatem – skoro mówimy o świecie wykraczającym poza ramy normalnej, zwyczajowej dla nas cielesności, to i jego koniec musi mieć odpowiednio spektakularną oprawę, przekraczającą wraz z religią granicę ludzkiego pojmowania.

Gdy popatrzeć na poszczególne Ewangelie porównawczo, to widoczna staje się doskonale ludzka, naturalna dla nas tendencja do stopniowania napięcia: Mateusz opisuje Zmartwychwstanie Pańskie w dziesięciu wersach, Marek i Łukasz próbują zamknąć się odpowiednio w jedenastu i dwunastu, zaś najbardziej wymowny Jan nie żałuje sobie i rozkręca się na całych osiemnaście. Zaczynamy od dwóch kobiet i jednego anioła, którzy następnie ewoluują w trzy kobiety i młodzieńca, a następnie kobiety i

dwóch mężów (już mężów, nie młodzieńców!). W wersji najpóźniejszej, najbardziej rozbudowanej, dziś rzeklibyśmy: hollywoodzkiej, święty Jan ogranicza się powściągliwie, ze zmysłem wytrawnego dramaturga, do jednej, ale za to charakterystycznej kobiety – Marii Magdaleny. Za to daje jej do kontrastu Szymona Piotra (wspomnianego tylko epizodycznie jako spóźnialski śpioch u Łukasza) oraz drugiego ucznia (jako przyzwoitkę, bo to w końcu Maria Magdalena), jak również dwóch aniołów i... Jezusa, który pojawił się już u Mateusza, ale potem zniknął gdzieś w natłoku bohaterów.

To właśnie święty Jan miał przywilej pisania jako ostatni chronologicznie i postawienia kropki nad „i”. Zapewne wiedział, że musi zostawić potomnym coś, czego łatwo nie zapomną, nad czym nie dadzą rady przejść do porządku dziennego... Ostatnim, odpowiednio potężnym akordem Nowego Testamentu staje się Objawienie świętego Jana, znane szerzej jako Apokalipsa.

Apokalipsa to księga przedziwna, nawet jak na standardy Nowego Testamentu. Wielu z Ojców Kościoła, chociażby imiennik jej autora Jan Złotousty, sprzeciwiało się w ogóle włączeniu jej do oficjalnego kanonu jako nazbyt wieloznacznej, niejasnej i nadużywanej przez heretyków – przedziwna, oparte na piętrowej symbolice i zagadkach opisy przyciągały ich, jak muchy, niebezpiecznie trącąc popularnym we wczesnych wiekach chrześcijaństwa mistycyzmem gnostycznym. A mimo to jej tajemniczy urok i sugestywnie wymalowana wizja końca wszystkiego spowodowały, że tekst utrzymał się przez lata – i nadal przemawia do wyobraźni.

Ze wszystkich ksiąg, właśnie Apokalipsa jest czytana najchętniej i wywołuje największe emocje. Prędzej czy później sięga po nią każdy, nawet ten, kto nie dał rady przebrnąć przez poprzedzające ją części Nowego Testamentu – umowy się, mocno podobne i w końcu nużące dla laika – albo nie miał siły czytać na zmianę opisów rzezi miast, perypetii rodowych królów i absurdalnych zakazów kulinarnych, jakimi naszpikowane są księgi Starego Testamentu. To właśnie ona z całej Biblii najgłębiej i najmocniej ukorzeniła się w kulturze masowej, dając asumpt niezliczonej dziś już ilości książek, opowiadań, komiksów, filmów, utworów muzycznych i innych dzieł o mniejszej bądź większej wartości artystycznej.

Nawet samo określenie straciło swój pierwotny wydźwięk – greckie słowo *Ἀποκάλυψις* oznacza „objawienie, wizję”, zaś dziś „apokalipsa” to po prostu zagłada, nieubłagany i przerażający czas zniszczenia wszystkich i wszystkiego. Prawdziwy koniec czasów, kojarzący nam się raczej z wynaturzonymi wymysłami potworności królujących na obrazach Hieronima Boscha, niż freskami skrzydlatych baranków i ciepłym, miękkim światłem sączącym się spomiędzy chmur.

Mimo to czekamy. Już nadejście roku tysięcznego spowodowało w Europie niemałe napięcia, znajdujące swą kulminację w wyraźnie widocznych, gdy tylko feralna data minęła, falach zamieszek – jak gdyby ludzie byli szczerze rozzaszczowani, że ten cholerny świat jednak się nie skończył. Podobnie działo się w wieku trzynastym, gdy wypełnić się miało biblijne tysiąc dwieście sześćdziesiąt lat, ekstrapolowane z takiej samej liczby dni, przez którą dano Antychrystowi rządzić nad światem. Następnie próbowano wyznaczać kolejne daty, przesuwając je i zmieniać, gdy nic się jednak nie stało...

Ostatni taki zryw mieliśmy na przełomie tysiącleci, gdy – podobnie jak nasi przodkowie z czasów najciemniejszego średniowiecza – wylegliśmy na ulice w noc Sylwestrową roku dwutysięcznego. Rzekomo popatrzeć na fajerwerki, a tak naprawdę ukradkiem zerkając, czy aby nie zobaczymy smug kondensacyjnych po wznoszących się w niebo rakietach balistycznych, które jakoby miały same z siebie wystartować, gdy elektroniczne zegary pokażą tylko zera. Cóż za plastyczny obraz, swoją drogą: właśnie koniec czasów, koniec czasu... ale nie stało się nic.

Potem mieliśmy jeszcze, raczej z przymrużeniem oka potraktowany, fenomen roku dwa tysiące dwunastego, gdy miała zmienić się biegunowość naszej planety. Czekaliśmy i wtedy, oglądając koniunkturalistycznie nakręcone filmy i czytając podejrzaną konduity literaturę pseudonaukową...

Ale znów nie stało się nic, Ziemia nie zatrzymała się, ludzie nie pospadali.

A mimo to, wbrew rozsądkowi, wbrew samym sobie... Częściowo śmiejąc się i nie dowierzając, ale...

Czekamy dalej.

Michał Gołkowski